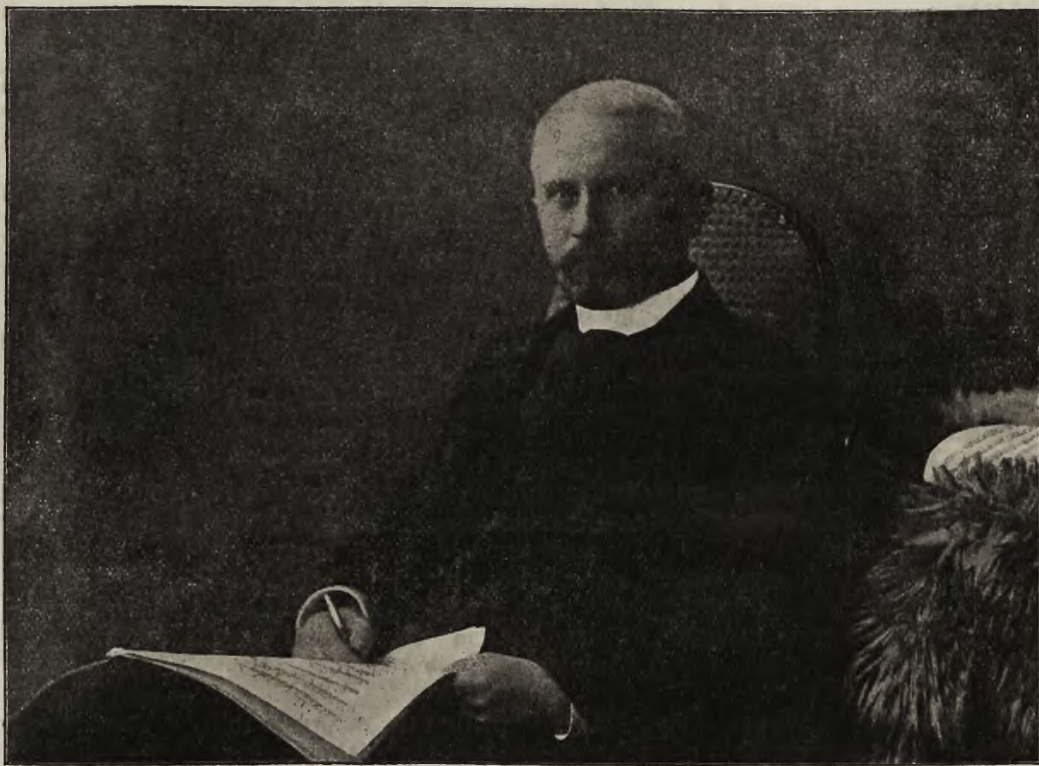


Mieczysław Sołtys.

Stare przysłowie, iż nikt w ojczyźnie swej nie jest prorokiem, nie zawsze — acz w wyjątkowych wypadkach, sprawdza się tam, gdzie w parze z wybitnym talentem, postępuje wytrwała, konsekwentna i świadoma celu praca — spełniająca swe zadania bez oglądania się na większe i mniejsze przeciwności, których losy nie skąpią nikomu. Dziecko Lwowa (ur. 7 lutego 1863), obecny dyrektor Gal. Tow. Muz. i kierownik najpoważniejszej w kraju uczelni muzycznej — prof. Mieczysław Sołtys, może być śmiało uważany za jednego z tych nielicznych, który wytrwałą pracą zdobył sobie nie tylko szacunek współobywateli, ale i tak trudne do zdobycia uznanie wśród nerwowego i nie zawsze lubiącego oddać co należy społeczeństwa... melomanów i muzyków — bo wytrwałej tej pracy, przyświecała jasnym blaskiem płonąca gwiazda... talent.

Lata wczesnej młodości, owe lata sielskie-anielskie, a szczególnie piękne chwile wolności wakacyjnych spędził Sołtys w Wojciechowicach, uroczej, okolonej lasami, wioseczce małopolskiej, pojąc się czarami przyrody, rozkoszami poezji wiejskiej, której tyle w duszy kmiotka naszego, składającego swe bole i radości w pieśni. Ona to urobiła mu duszę, dając jej samodzielność i charakter zdecydowany a prawy. W gimnazjum nie należał Sołtys do najpilniejszych uczniów. Zaniedbywał się w przedmiotach tych, które nie przedstawiały dlań jakiegokolwiek interesu, zaś pilnie i pracowicie studiował te, które pociągały i nęciły jego umysł. Najwięcej pociągały go języki nb. w poezji, a nade wszystko łacina — zachęcony przez nauczyciela zaczął nawet przekładać wierszem „Enejdę“, tworzył poezje liryczne, dramaty i powieści. Komponować zaczął wczesnie, zakreślając pracę na szerokie ramy, lecz czując, że samo natchnienie nie wystarczy, rozpoczął pracować szczerze nad zasadami harmonii i gry fortepianowej.



Mieczysław Sołtys.

Po przejściu koniecznej w naszych stosunkach społecznych, sakramentalnej furtki do życia, „matury“, zapisał się na wydział prawny, lecz miast ślęczyć nad paragrafami, wolał ślęczyć nad ukochaną muzyką, której oddał się teraz całkowicie pod kierunkiem takiego majstra, jakim był ś. p. Karol Mikuli.

Rok 1887 był chwilą decydującą w życiu młodego artysty. W roku tym bowiem zamianowany profesorem historii muzyki w lwowskim konserwatorium otrzymuje za wpływem Mikulego urlop i zasiłek do studyów za granicą. Pierwszym etapem naukowej podróży był Wiedeń. Tu studjuje u Fr. Krena i Hirschfelda, bierze żywy udział w życiu muzycznym naddunajskiej stolicy.

Młody, chciwy wiedzy artysta zapragnął poznać Paryż, a przedewszystkiem mistrza Saint-Saënsa, którego utwory słyszane u Filharmoników wiedeńskich wywarły na nim olbrzymie wrażenie. Saint Saënsa w Paryżu nie zastał, lecz wytrwały w zamiarze, postanowił poczekać na jego przyjazd,

który też niebawem nastąpił. Dzięki poleceniom, a szczególnie przedstawionej partycyli kilku chórów z pierwszej opery swej „Panie Kochanku“ uzyskał uznanie mistrza, który, poleciwszy Sołtysowi zapisać się do szkoły organowej (Institut d'Orgue) Eugeniusza Gigout, pozwolił młodemu artyście być na swych zebraniach i udzielał mu cennych rad i wskazówek.

W czasie tym zmieniły się stosunki muzyczne we Lwowie. Mikuli ustąpił z Towarzystwa muzycznego i założył własną szkołę, w której Sołtys przyjął stanowisko nauczyciela gry fortepianowej, lecz nie na długo. Żądny wiedzy wyjeżdża znowu do Paryża, gdzie przez sezon studiując uzupełnia swą wiedzę. Po powrocie do kraju, obejmuje posadę prof. konserwatorium i prof. muzyki w seminarium, a nadto i referat muzyczny w „Przeglądzie“. W czasie tym powstaje wiele kompozycji, Sołtys wykończył operę komiczną

„Panie Kochanku“, koncert fortepianowy z orkiestrą, wiele dzieł na orkiestrę symfoniczną, a nadto drobniejsze utwory muzyczne. Największe dzieło Sołtysa, imponujące oratorium, wykonała „Lutnia“ lwowska po raz pierwszy 7 października 1895.

W r. 1897 stanął Sołtys na czele „Wiadomości artystycznych“, które redaguje aż do chwili, w której obrany dyrektorem Towarzystwa muzycznego, zmuszony był złożyć ster pisma, w ręce swego ucznia p. Stanisława Bursy.

Od r. 1899 działając i pracując na stanowisku dyrektora Galicyjskiego Towarzystwa muzycznego i konserwatorium we Lwowie, podniósł niveau pojęć muzycznych i ogólnej muzykalności.

W roku zeszłym zamianowany przez rząd przewodniczącym komisji egzaminacyjnej dla nauczycieli muzyki — rozpocznie niebawem nowy etap w swej zbożnej działalności, w której wspiera i krzepi go gorąca miłość dla sztuki i zapał młodości.

s. b.

TAJEMNICZA WILLA

(Z opowiadań włamywacza na tle prawdziwych zdarzeń).

Z angielskiego przełożył
KAZIMIERZ E.

10

(Ciąg dalszy)

Zdziwiony, spojrzałem bacznie na dobrotliwie uśmiechniętą twarz pana Follena.

— Jak pan to pojmujesz? co pan pod tem rozumiesz? — zapytałem, drżąc cały ze wzruszenia.

— Poprostu możesz pan sobie zarobić wcale przyzwoitą sumkę, powiedzmy jakie dziesięć do dwudziestu tysięcy marek, a potem z tym podstawowym kapitałem rozpoczniesz całkiem nowe życie, zostaniesz uczciwym człowiekiem! Powiedziałem jednak: „możesz pan sobie zarobić“...

— A to w jaki sposób? — zagadnąłem gorączkowo.

— W ten sposób, żebyś pozostał jeszcze czas jakiś w mej willi i jak dotychczas dalej odstępował mi tyle krwi, ile zapotrzebuję i ile bez żadnej szkody dla siebie jesteś mi w stanie odstąpić. Z własnego doświadczenia wiesz pan, że warunek to nie jest zbyt ciężki.

— Całkiem słusznie! Z ochotą nawet przyjmuję pańską propozycję. Ale czy pan może mi zaręczyć panie doktorze, że taki ciągły ubytek krwi nie zaszkodzi memu zdrowiu.

Profesor Follen nerwowo poruszył się na krześle. — Jestem uczciwym człowiekiem, mój panie, i pewnie nie zwracałbym się z podobnym żądaniem do pana, gdybym sądził że twoje życie, lub zdrowie przez to na szwank narażam!... A zresztą powiem ci, dlaczego chcę cię zatrzymać, choć mógłbym na twoje miejsce bardzo łatwo znaleźć kogo innego. Oto znam właściwości twojej krwi i wiem, że jest ona zdrową w całym tego słowa znaczeniu, podczas, gdy u kogo innego musiałbym ją dopiero próbować i kto wie jak prędko trafiłbym na odpowiednią medycynę. Zresztą powiem i to otwarcie,

że od czasu, jak jesteś w naszym domu, mojej biednej córce znacznie się polepszyło... Mam więc nadzieję, że przy twojej pomocy uda mi się ją całkiem wyleczyć, a wówczas mógłbyś żądać odemnie wszystkiego! Z wdzięczności nie byłbym w stanie niczego ci odmówić!...

— Więc zgoda! — odrzekłem, wyciągając dłoń do profesora i daj Boże, abym istotnie przyczynił się do uzdrowienia tego nieszczęśliwego dziewczęcia.

Follen uściśnął mi rękę i wyszedł, a ja zamysliłem się nad tem, jakie życie będę prowadzić, opuściwszy wreszcie tę willę.

Od chwili, w której stanął ten układ, przestano uważać mnie za więźnia. Doktor Follen był przekonany, że nie umknę z willi i przestał pilnować mnie na każdym kroku. Mogłem więc poruszać się całkiem swobodnie, przesiadywać całymi godzinami w ogrodzie bez asystencji Franciszka, którego towarzystwa szukałem jednak bardzo często z nudów i z powodu serdecznej przyjaźni, jaką zrodziła się w mem sercu dla tego pocziwego chłopca.

A jednak, chociaż wolno mi było włóczyć się po całej willi, do jednego pokoju miałem wstęp surowo wzbroniony. A to nie wolno mi było przestąpić progu tej izby, w której raz już byłem, a w której mieszkała nieszczęśliwa ofiara upiórów, panna Teresa.

A przecież z taką ciekawością byłbym ją zobaczył! A przecież tak chciałem na własne oczy zobaczyć, jakie skutki wywołała ta moja krew, którą jej ofiarowałem!...

Kilka razy zwracałem się do profesora Follena z prośbą, aby pozwolił mi zobaczyć swą córkę, ale zawsze spotykałem się z odmowną odpowiedzią.

— Moja córka umarłaby ze strachu, gdyby tak nagle i niespodzianie stanął przed nią człowiek, który ją podtrzymuje przy życiu krwią swoją — mówił pan Follen. — Ona do tej pory nie przypuszcza nawet, że w jej żyłach płynie krew obca, bo operację wstrzykiwania pańskiej

krwi podejmuję wówczas dopiero, gdy ona leży na swem posłaniu prawie bez życia!

— Na takie *dictum acerbum* nie miałem i nie mogłem mieć jednego argumentu. To też tem więcej zdziwiłem się, gdy w parę tygodni później Franciszek z uradowaną miną wszedł do mego pokoju i oznajmił mi z wesołym uśmiechem:

— No! niech się pan przygotuje na dobrą nowinę! Pańskie życzenie, aby zobaczyć pannę Teresę, niebawem będzie spełnione! Tak! niech pan na mnie nie spogląda takimi zdziwionymi oczyma! Powiadam panu, że niebawem zobaczysz pan tę, której formalnie uratowałeś życie!...

— Na Boga! — zawołałem gwałtownie — to mnie więcej cieszy, niż gdyby mi kto ofiarował sto funtów szterlingów! Ach skąd ty wiesz o tem, Franciszku?!...

— Wyobraź pan sobie, że panna Teresa jest już znów zupełnie zdrowa! Doprawdy wierzyć się w to nie chce!

Wspomniałem sobie słowa pana Follena i wyszeptałem:

— Hm! mówią, że nie ma na świecie rzeczy, któraby była niemożliwą!

— A wie pan — mówił dalej Franciszek — dlaczego panienka, która była prawie umierająca, dziś znowu cieszy się prawie kompletnym zdrowiem?

— Nie! nie domyślam się nawet! — odrzekłem całkiem otwarcie.

— Uważa pan! — szepnął z tajemniczą miną Franciszek — on nie przychodzi już więcej do panienki!...

— Kto? ten upiór?!... a skądże wy wiecie o tem?!...

C. d. n.

